

opusdei.org

## **Bp Alvaro. Cz.2. Chrześcijańska rodzina**

Kolejny fragment wspomnień Salvadora Bernala o Bp Alvaro del Portillo, pierwszym następcy św. Josemarii Escrivy. W 2004 r. rozpoczął się jego proces kanonizacyjny.

16-08-2007

Pewnego dnia w lipcu 1977 roku, na początku obiadu, kiedy podawano jedzenie, prałat Álvaro, pogrążony w rozmowie, nie zauważył, że oprócz

innych warzyw nakłada sobie kilka ziemniaków. Zobaczywszy to, podał je don Florencio Sánchezowi Bella i don Joaquínowi Alonso, którzy siedzieli obok niego. Przypomniało mu to słowa, które mówiła do niego w dzieciństwie jego matka. Álvaro musiał szybko zjadać obiad, żeby zdążyć na popołudniowe lekcje w szkole. Żegnając się zabierał coś z talerza deserowego swojej matki, a ona zazwyczaj mówiła:

– Twoje dzieci wydrą ci jedzenie z ust.

Don Álvaro dodawał, że kiedy sobie przypominał tę scenę, myślał, że matka się pomyliła, ale okazuje się, że nie...

Miejscowość Sollano, na ziemiach prowincji Vizcaya, należała do gminy Zalla. Historycznie panami tego miejsca było dziesięciu braci, z których każdy „znaczył tyle samo, co inni”, zgodnie z ich zawołaniem:

„jeden z dziesięciu z Sollano”. Stąd wywodzi się nazwisko Diez de Sollano (nie zaś Díez z akcentem nad ‘i’, jak zazwyczaj błędnie się pisze).

Clementina Diez de Sollano Portillo była ładna i dystygowana. Była też dobrą chrześcijanką. Urodziła się w Cuernavaca (Meksyk), gdzie jej rodzice mieszkali do czasu powrotu do Hiszpanii w 1910 roku, kiedy w Meksyku zaczęła się rewolucja.

Zachowała obywatelstwo meksykańskie oraz słodki i miękki akcent tamtejszej mowy. Częściowo uczyła się w Londynie, w szkole Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego. Poza utrwaleniem znajomości angielskiego, który zawsze dobrze znała, prawdopodobnie nauczyła się tam przeżywać swoją chrześcijańską wiarę elastycznie, bez sentymentalizmów, zachowując zdrowy rozsądek i nadprzyrodzone spojrzenie. Była wykształconą i

lubiącą czytać kobietą. Podobały jej się biografie i książki z dziedziny duchowości. Zawsze miała pod ręką Tomasza à Kempis. Codziennie chodziła na Mszę świętą.

Jej syn Álvaro odziedziczył po niej niektóre ludzkie cechy jak uprzejmość i delikatność w obcowaniu z ludźmi, uśmiech towarzyszący jej nawet najbardziej energicznym decyzjom, szczerego ducha zrozumienia, który sprawiał, że nie mówiła o nikim źle ani nikogo nie krytykowała. Álvaro odziedziczył również coś bardziej prozaicznego: zdolność spożywania z niezmaconym spokojem najbardziej pikantnego europejskiego jedzenia, które nigdy nie było dla niego tak smaczne jak meksykańska bardzo ostra wędzona papryka.

To w domu rodzinnym w duszy Álvaro zrodziła się pobożność do Najświętszej Maryi Panny poprzez

różaniec święty. Z ust matki nauczył się popularnej i pełnej naiwności modlitwy do Maryi, którą przywykł odmawiać codziennie:

Słodka Matko, nie oddalaj się ode mnie,

nie odwracaj ode mnie Twego wzroku,

bądź ze mną wszędzie

i nigdy mnie nie opuszczaj.

Skoro już tak bardzo mnie chronisz, jak prawdziwa Matka,

spraw, żeby błogosławił mnie Ojciec,

Syn i Duch Święty.

Kiedy don Álvaro powrócił do Meksyku w 1983 roku, poczuł się bardzo synem tej ziemi. „Chociaż – żartował – teraz mówię twardo jak Hiszpanie, kiedy byłem mały,

mówiłem tak miękko, jak wy.” Dodał bardzo rozbawiony, że jego babka śpiewała mu jako kołysankę hymn narodowy Meksyku.

Przypominał również o swoich meksykańskich korzeniach w sierpniu 1977 roku komentując słowo Santina , „wyraz czułości, zaufania, miłości”. Mieszkańcy Asturii zwracają się w ten sposób do swojej patronki, Najświętszej Maryi Panny z Covadonga. Álvaro wyznał nam, że kiedy był mały nazywał swoją matkę „mamusieńka” a później nauczył się od Św. Josemaríi wzywać Maryję mówiąc do Niej: Matko! Mamusiu!

Kilka tygodni wcześniej, w lecie 1977 roku – nie zapamiętałem całej sytuacji – opowiadał przy okazji jakiś bohaterski szczegół z chrześcijańskiego życia swojej matki. Chociaż odznaczała się na tyle wielką delikatnością duszy, żeby o tym nie

mówić, syn zdawał sobie sprawę, że wstawiała bardzo wcześnie (wydaje mi się, że zrozumiałem, że o czwartej rano), kąpała się w zimnej wodzie na znak umartwienia, a następnie przez godzinę się modliła. Don Álvaro kojarzył te szczegóły z troską pani Clementyny o wiarę bliskiej osoby, którą bardzo kochała.

Jej mąż Ramón del Portillo Pardo urodził się w Madrycie i studiował prawo na ówczesnym Uniwersytecie Centralnym. Pracował w firmie ubezpieczeniowej „Plus Ultra”. Człowiek uporządkowany i pracowity, wielki domator, był, zgodnie z tym, co mówi jego córka Pilar, „wytworny i poprawny we wszystkim, bardzo wykształcony i elegancki, niezwykle punktualny i bardzo drobiazgowy”. Jego charakterowi ton nadawała precyzja, dokładność, powaga. „W każdym razie – opisuje inny syn Carlos – był poważny, ale nie surowy. Nie

pamiętam go w żadnym wypadku jako osoby szorstkiej, sztywnej czy zimnej”.

Ten przyjazny i serdeczny człowiek bardzo lubił korridę i lekturę. Z upływem lat tracił wzrok.

Prawdopodobnie była to rodzinna choroba zważywszy na to, co usłyszałem od don Álvaro o jego dziadku. Mieszkał na ulicy Caballero de Gracia i często chodził do Kaplicy Królewskiej znajdującej się blisko Red de San Luis. Pewnego dnia, w jadalni, mocno rozzłoszczony opowiadał swojej żonie, że wpadła na niego jedna z tych świętoszek, które idą przez kościół i nie patrzą... A ona powiedziała:

– W takim razie to ty omal mnie nie przewróciłeś na ziemię!

Clementina i Ramón mieszkali również na początku swojego małżeństwa przy ulicy Caballero de Gracia. Jednakże wkrótce przenieśli



się do obszerniejszego domu przy ulicy Alcalá 75, tuż przed Puerta de Alcalá idąc od placu Cibeles, po lewej stronie. Tam urodził się Álvaro. Niemal naprzeciwko znajdowało się „El Sotanillo”, stara pijalnia czekolady, dzisiaj nieistniejąca, związana z działalnością apostolską Założyciela Opus Dei w latach trzydziestych. Później państwo del Portillo przenieśli się na ostatnie piętro innego budynku przy niedalekiej ulicy Conde de Aranda pod numerem 16. Mieli ośmioro dzieci o imionach: Ramón, Paco, Álvaro, Pilar, Pepe, Ángel, Tere i Carlos.

Álvaro urodził się 11 marca 1914 roku i został ochrzczony sześć dni później w parafii Św. Józefa, znajdującej się przy ulicy Alcalá, dokładnie w miejscu gdzie rozpoczyna się madrycka Gran Vía. Rodzicami chrzestnymi byli jego wujostwo Jorge Diez de Sollano i

María del Carmen del Portillo Pardo. Dano mu na imię Álvaro José María Eulogio (to ostatnie było imieniem świętego, którego wspomnienie obchodzono danego dnia, zgodnie ze zwyczajem bardzo wówczas zakorzenionym w Hiszpanii). 28 grudnia 1916 roku przyjął sakrament bierzmowania z rąk biskupa Eustaquio Nieto y Martín, ordynariusza Sigüenzy, w parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Świadcami bierzmowania byli hrabia Almenas i księżna Victorii. Jak wiadomo, w owym czasie w Hiszpanii zwykle udzielano tego sakramentu już dzieciom.

11 marca 1989 roku w dzień siedemdziesiątych piątych urodzin don Álvaro odprawił Mszę w prałackim kościele Najświętszej Maryi Panny, Królowej Pokoju. W homilii, wspominając z wdzięcznością tyle łask, jakie

otrzymał od Pana w ciągu swojego życia, przypominał przede wszystkim fakt narodzin w chrześcijańskiej rodzinie, gdzie nauczył się pobożności.

Przypominał panią Clementinę, „która wpoila mi szczególną pobożność do Najświętszego Serca Jezusowego i Ducha Świętego oraz szczególną cześć dla Maryi pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel”. I dodawał: „Nasz Pan Bóg zechciał, żeby była przyjacielem mojego ojca a to, w oczywisty sposób, sprawiło, że nie miał nieodpowiednich przyjaciół”.

Mercedes Santamaría opowiadała mi, że Álvaro wyróżniał się od najmłodszego dzieciństwa jako bardzo towarzyskie dziecko. Kiedy prowadziła go na spacer od ulicy Conde de Aranda, drogą położoną bezpośrednio obok parku Retiro, ludzie zatrzymywali się i przyglądali

się mu, dlatego że zwracał powszechną uwagę. Niejeden czuł się zobowiązany, żeby coś do niego powiedzieć a on odpowiadał w naturalny sposób, jakby zachęcając do kontynuowania rozmowy. Wątpię, żeby pełna miłości Mercedes mogła się mylić. Jednakże don Álvaro wspominał niekiedy, że był nieśmiałym chłopcem. Na przykład, kiedy mówił, że z powodu nieśmiałości nie chciał być adwokatem jak jego ojciec albo kiedy wspominał, jak łatwo się rumienił ... Być może uciekał się do nieśmiałości jako środka skromności, właśnie w chwilach, w których kierował swoje słowa z oczywistą energią do tysięcy osób...

Wkrótce pojawiły się u niego dość poważne schorzenia. Cierpiał ataki reumatyzmu mając zaledwie dwa czy trzy lata. Po kolacji jego dwaj starsi bracia dostawali do wypicia wielki kubek mleka z ubitym

żółtkiem a on lekarstwo. Mówił im z zazdrością i z meksykańskim akcentem: „Ale z was szczęściarze! Wam dają ubite żółtko a mi Sanatogén”. Chodziło preparat salicylanowy o niedobrym smaku. Musiał mieć pewną wrodzoną skłonność do tej choroby, dlatego że o wiele później, kiedy miał już prawie dwadzieścia lat, reumatyzm zaatakował go ponownie. Przyjął go dr Gregorio Marañón . Pilar del Portillo pamięta receptę, być może ze względu na jej oryginalność: krople z siekanego czosnku wymoczonego w alkoholu.

Don Álvaro śmiał się przypominając pewną anegdotę z dzieciństwa, kiedy chciał poprawić gramatykę jednego z młodszych dzieci. Pilar albo może Pepe powiedzieli bram zamiast biore, co jest typowym zniekształceniem języka u dzieci. A Álvaro wyjaśnił im kategorycznie:

– Nie mówi się *brać*, tylko *biorać*.

Psocił i łobuzował jak inne dzieci i jego ojciec niekiedy czuł się zmuszony go karać. Jednakże Álvaro mu się wymykał. Czasami, kiedy don Ramón szedł za nim i już miał go pochwycić, żeby wymierzyć mu karę, uciekał przebiegając pędem pod wielkim stołem w jadalni.

Kiedy był mały, don Ramón zabierał jego wraz z rodzeństwem na Mszę w niedzielę rano. Szli z domu przy ulicy Conde de Aranda do znajdującego się bliźutko kościoła Św. Emanuela i Św. Benedykta. Później przechodzili przez ulicę Alcalá, żeby pospacerować po parku Retiro, gdzie ojciec zapraszał ich na frytki i oranżadę. Według siostry Álvaro Pilar, która urodziła się po nim, Álvaro był pogodnym, wesołym i prostym dzieckiem, raczej zaokrąglonym, o sympatycznej i uśmiechniętej minie. Nie pamięta,

żeby kiedykolwiek kłamał. Natomiast owszem, robił dziecinne psoty, jak również z upływem czasu wiele żartów bardziej lub mniej zabawnych. Jego pobożność była typowa dla rodziny chrześcijańskiej. Pilar myśli, że u Álvaro najbardziej rzucała się w oczy ciągłość jego zachowania przez lata. Jest przekonana, że „w głębi duszy nadal zachowywał ową niewinność, ową prostotę, to szczere poszukiwanie Boga, jakie charakteryzowało go, kiedy był bardzo mały”.

---

pdf | dokument generowany  
automatycznie z <https://opusdei.org/pl-pl/article/bp-alvaro-cz2-chrzescijanska-rodzina/> (15-04-2025)